

# Władysław Jan Grabski

---

## Ballada katolicka o Konstancji z Nawrockich Kłosińskiej i Konstantym Ildefonsie Gałczyńskim

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (31), 174-180

---

1995

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Władysław Jan Grabski*

## Ballada katolicka

o

Konstancji z Nawrockich Kłosińskiej

i

Konstantym Ildefonsie Gałczyńskim

### *Introductio:*

Dnia jednego, o tej samej porze,  
pod grudniowym, mazowieckim niebem,  
w warszawskiej archidiecezji  
zakazałeś im żyć, Panie Boże:  
Konstancji — laskawym chlebem,  
Konstantemu — ciastkami poezji.

Ona była żebraczką, niepiśmienną,  
naprawdę.  
Dziewięćdziesiąt dwie zimy mierzyła swój  
czas  
zanim cichutko oddała Bogu ducha.  
On — w Polsce imię harde!  
Czterdzieści siedem lat wybuchal  
i nagle — zgasł...

Miał rodzinę, lokal od frontu, radio,

pięć talentów, magiczny dar słowa,  
dobrą prasę, jeszcze lepszą gażę  
Ona mieszkała kątem, odwieczna wdowa,  
modliła się za darmo  
i pracowała za owsianki talerz.

Nie zdążyli poznać się na jawie.  
Babcia żyła zbyt długo, bard — chyba za  
krótko?  
Ale przecież ja ich dobrze znałem!  
Konstancję przy spotkaniu w rękę  
całowałem,  
a z Konstantym, w Warszawie  
popijałem wódkę...

Dlatego, gdy pomarli jednego dnia,  
a potem pogrzeb jednocześnie,  
w różnych miejscach,  
jakże mogłem uczyć obu miłych?

Więc poszedłem za Konstancją, bo  
biedniejsza,  
a także, aby pomóc, jeśli trza  
znieść jej trumnę, nie ciężką, do mogiły.

A także, przypuszczałem, na Powązkach  
dość będzie oracji, limuzyn,  
Przyjdzie Tuwim, minister bez księdza...  
Więc wybrałem cmentarzyk w Gołąbkach,  
w pustym polu, nie duży  
prawie ńędza.

A także pomyślałem sobie:  
Żebraczkę odprawdzą ludzie prości,  
serca hojne, bo przystępne, szczerze.  
Może uda mi się coś rozgłosić,  
splączę jakoś te żaloby obie  
i ubiję dla Kostka interes...

Ho! Ho! Kto by się tego spodziewał!  
Chociaż cmentarz daleko, za plantem  
a ludzi tłum, z płonącymi gromnicami.  
„Dobry Jezu” chór kościelny śpiewał.  
Księża dwaj, w czarnych kapach,  
wszystkim znani,  
a na trumnie — pęk białych chryzantem.

My szliśmy tuż przy koniu, w koleinach.  
Przodem dzieci i pobożne panie  
a na końcu ten kulawy dziadek.  
Minęła nas, gwizdząc, lokomotywa.  
Zona szeptem odmawiała różaniec,  
ja zaś prozą obmyślałem balladę:

o Konstancji z Nawrockich Kłosińskiej  
i Konstantym Ildelfonsie Galczyńskim,  
imiennikach zmarłych w jednej porze,  
że Konstancją, gdyby tylko chciała,  
Konstantemu, którego nie znała,  
dopomoże!

### *Mnemosyne I*

Trzydzieści trzy tysiące dni  
dobrze służyło ci serce, Konstancjo!  
Przez milion godzin prawie  
odżegnywało Złęgo!  
A ile świętych Komunii,  
modlitw, westchnień?  
Za powstańców Sześćdziesiątego  
Trzeciego  
za męczenników Unii  
za Warszawę...

Pamiętam też jesień w zeszłym roku:  
Wicher zrywał resztki liści z topól,  
ziębłil oczy dokuczliwym chłodem...  
Dogoniłem cię na szosie samochodem,  
gdy dreptałaś do Ursusa, do apteki  
po lekarstwo dla pijaka–kalcki.

Zapraszałem, że podwożę, bo blisko.  
Ale gdzie tam! Nie chciałaś.  
Za blisko.  
Przystanąwszy z wdziękiem przy wozie  
wielbiłaś w głos miłosierdzie Boże.

Dziękowałaś, że ci istnieć pozwoli,  
że na spowiedzi grzechy ci przebaczył,  
nie grozi ci ńędza i głód.  
Za to, że nie zmarłaś, nic nie boli  
za dobry wzrok i lekki chód,  
za przyjaciół...

### *Dies illa*

Nazbyt wiernie służyło ci serce,  
Konstancjo,  
w ostatnim dniu.  
Gdy bezwład łoża nożyny twe związał,  
mrok zalał oczy, męt ukrócił pamięć  
łamiąc ciało do wiecznego snu,  
rytm twego serca za śmiercią nie zdążył...

O jedną dobę na życia wybrzeżu  
ciężki toczyłaś bój, Konstancjo,  
z Kostuchą.  
Nie rozumieliśmy, co to znaczy.  
Przecież nie była to noc twej rozpaczy,  
bo martwiczące usta echem tchu  
belkotwały kornie imię Jezu.

W agonii, jak za życia niculekła  
atakowałaś czołem próg ciemności,  
byle prędzej wydobyć się na jaw.  
W majestacie skonu, na marach  
okazałaś się nam prawie piękna:  
własny pomnik ze słoniowej kości!

Pogrążenie... Dno! Spazm! Wzlot!  
Popłoch...  
A potem widzą uszy, słyszą oczy.  
Ktoś woła — Konstancjo! Tutaj spójrz!  
Kędy patrzeć? Na okno? Nie!  
Widnokrąg.  
Gdzie Pan? Skulona, bojaźnią broczy.

— Nie lękaj się! Jestem twój Anioł Stróż!  
 Złociutki! Jesteś? Więc nie padłam sama?  
 Jaki możny! Ale co ze mną będzie?  
 Powiedz, do Matki Boskiej stąd daleko?  
 A gdzie Wandzia? A gdzie moja mama?  
 Kiedy odbędzie się sąd?  
 Co orzeką?

Anioł ma śpiewne skrzydła, czoło  
 w wieńcu.  
 Wygląda umęczoną twarz Kłosińskiej  
 i na Konstancji kładzie poważny wzrok:  
 — nie ja czekałbym tu na straceńca,  
 ani strzegł potępionych zwłok.  
 Bądź dobrej myśli!

Święty Jezu! Konstancję lęk odbiega.  
 Już chce płaszać, wylać wdzięczną duszę  
 na świadczących jej łaski dobrodziejców.  
 Ale czemu nikt jej tu nie dostrzega?  
 Przecież stoi wśród nich z Aniołem  
 Stróżem,  
 żywa, jasna i pełna nadziei!

Odziewają ją w tercjarski habit  
 i sandały. Podwiązują szcękę.  
 Pan Szczypiorski okna pozasłaniał.  
 Gospodyni, pochlipując łzami  
 oplątuje jej różańcem ręce.  
 Tylko na nią nie zwracają uwagi.

Więc to tak! Od dziś ostatecznie  
 władność ciała wygasła na amen!  
 Oj! Nie łatwo się z tym pogodzić.  
 Jak staremu wieść życie to samo,  
 a już wiecznie  
 i na zawsze młodym?

Anioł dostrzegł jej tkliwość. Pocieszył:  
 — Nie oglądaj się. Będzie dobrze!  
 Dwa dni wolne masz, by się sposobić.  
 Potem bardzo dla nas ważny pogrzeb.  
 Można stracić coś, gdyby ktoś zgrzeszył...  
 Można zarobić.

— Cóż ja mogę? dziwi się kobiecina.  
 Anioł na marach ściele skrzydło  
 i wygląda ciekawie na świat:  
 — Jeszcze możesz. Ja tu straż potrzynam  
 a ty spróbuj, gdyby cię to bawiło,  
 rozejrzyj się, może kto będzie rad...

Pierwszy krok — lot! Sus w czarno-białe.  
 Gdzie spojrzeć — tam obecność!  
 Konstancja nie chce odbiec za daleko.  
 Widzi noc nad Gołąbkami i Warszawę.  
 Most, paciorki latarń ponad rzeką,  
 wstęga szosy, rodzinne Piaseczno...

Już jej to nie pociąga, ląknie barwy,  
 melodii świateł.  
 Na ziemi szaro, nieprzytulnie.  
 Jakby jej kto do uszu natkał waty.  
 Ale oczy ma, nowy wzrok.  
 Rozgląda się. Och!  
 Jaki Ogrom!

Z warg milczącego mroku wytryska  
 pióropus!  
 Gejzer kolorowej cynfolii  
 płomienistym płaszczem zasłania ziemię.  
 Tysiąc lśniących płaszczyzn sięga  
 w Niebo.  
 Mount Everest!  
 Olimp!  
 Giewont!

Pruje górę wwyż płynący strumień,  
 rubinowy, srebrny, złoty  
 topaz, szafir, chryzolit!  
 Płynie pokotem stopni potok  
 ruchomych schodów,  
 pod sam szczyt,  
 do Rajskiego Ogrodu!

O ja Boga! Oderwać się trudno.  
 Takie cudne to, widoczne, święte!  
 Dusza piszczy do swego szczęścia.  
 Tylko lotki ma wstydem spięte,  
 jeszcze ziemską,  
 śmiercią nudną...

Gdyby rękę kto znajomy podał,  
 albo słówko, zrozumiały dźwięk,  
 może zbyłaby korną nieśmiałość.  
 Ależ słyszy! Wyraźnie, opodal...  
 wzbil się z ziemi gardłowy jęk!

Konstancja spuszcza oczy. Cud  
 szczepnął!  
 Niepocieszenie znów, czarno-biało...  
 Ujazdowski park. Z nieba bez dna  
 kapią gwiazdy na mokrą jezdnię,  
 a zza sztachet pogląda na nią  
 markotno nieznajomy Anioł.

Na nią? Za nią przejrzysta warstwa.  
 Czemu Anioł nic jej nie powie?  
 W piegach gwiazd płaski asfalt.  
 Coś tam zryma się, opada, pręży.  
 Koboldów mrowiec nakłada więzy.  
 Zrywa więzy samotny człowiek.

Mroczne widzenie Konstancją wstrząsnęło!  
 Ręce jej rosną, stopy niosą.  
 Zawirowała nad asfaltem.  
 Serce otwarte, piąstki twarde.  
 Tęsknotę szczęścia niespożyta  
 przetapia w żarliwą litość  
 i krzyczy do obcego Anioła,  
 by też ratował!

### *Mnemosyne II*

Po dwóch latach obcości, pierwszy raz  
 przed tygodniem  
 spotkaliśmy się znowu na mieście.  
 Ty, Konstany, z Natalią, ja z Zosią.  
 Szliśmy pod ręce, beztrosko...  
 Wymieniliśmy życzliwe uśmiechy...  
 Nic więcej!  
 A po tygodniu radio doniosło,  
 że umarłeś.

Słabe serce, zrujnowane serce,  
 przez dwa zawaly. Oflag,  
 kapryśny rytm, zawily rytm  
 przykrości trochę,  
 humanistyczny wstyd,  
 alkohol...

Już dwa razy był alarm. Przestroga!  
 Krok od śmierci...  
 Przecież znałeś ją z delirium tremens?  
 Groziłeś jej szklanym biczykiem  
 chcąc uwolnić Ziemię  
 od szantażu...

Po raz trzeci było też podobnie:  
 Oczy w słupek, drgawki, sine usta.  
 Panowie! Tylko bez nerw!  
 Trup do łóżka!  
 Zamiast modlitw — strzykawki.  
 Zamiast gromnicy — żarówka...  
 Zamiast psalmów...? Niobe  
 i Marche Funèbre!

### *Dies irae*

Po okrzyku — chłód... głusz... drętowo...  
 Godziny jawią się w malignie bytu...  
 Czemu rano był, jeśli ciemność?  
 Przypomniałeś, że nie to...  
 Zechciałeś... nadaremno...  
 Nie ma świtu,  
 Nie ma chcenia w grobie!

Jest loch! Ten pokój, katafalk...  
 Guzikami dusza spięta ze skórą!  
 Musisz w brzuchu zaryć się pod ziemię.  
 Ooch! Dławi rozkładu łapa...  
 Nie!  
 Zerwałeś się w dantejskim przerażeniu  
 i lbem o mur!

W domu nie zauważono twej ucieczki.  
 Tyle razy opuszczając ich na noc!  
 gnany szalem C<sub>2</sub>H<sub>5</sub>OH  
 nie słyszałeś płaczu twej córeczki,  
 nie widziałeś, jak Natalia, już stara  
 przy twych marach prawosławno szłocha.

Nie słyszałeś, nie widziałeś nic  
 do chwili  
 aż cię te kamraty obstąpili  
 na asfalcie, przy płaskiej ulicy.  
 Oblepili cię obłęnym mlaskiem,  
 skrępowali cię szyderczym wrzaskiem,  
 obalili!

Jeden żąda po rusku — brzucha!  
 Po niemiecku wkręca się do ucha,  
 po francusku — do mózgu,  
 po grecku, po łacinie  
 przekręcają twoje imię.  
 Paskudy!

Taki wszczęli koło ciebie zamęt,  
 byś nie myślał, poddał się natychmiast  
 i powrócił do trupiej skóry.  
 Ale ty, walcząc ze wstrętem  
 zdołałeś oderwać ręce  
 od ulicy czarnej jak atrament  
 i wyciągnąć, z jękiem,  
 do góry!

Na to Anioł twój zza sztachet patrzył,  
 Na to duszę bliźniego naszczul  
 i rozslonił twe niewierne źrenice.  
 Abyś dostrzegł gwiazdy nad asfaltem,

abyś zliczył boleści własne  
i raptem!  
Owo zjawisko śliczne  
odgrodziło cię spiralą wdzięku  
od spiętrzonego łku  
przed Czarciem!

Odpłoszone koboldy przykucnęły  
na chwostach.  
Wzrokiem dręczą, klami strzygą.  
Stugłowy przyziemności pajak...  
Wtedy to powstał ów słynny dialog,  
czyli wstępny egzamin Gałczyńskiego  
na rogu Alei Ujazdowskich.

Z jednej strony — kłęb ogonów,  
pramateria, plazma, marksizm,  
miełe jęzorem, łże!  
Z drugiej strony On, sam pan Mistrz,  
oskubany strachem amorek,  
zęby ściska,  
a pomiędzy:  
pyskata Kłosińska!

Stary Diabeł krzywo warczy:  
— On nasz, z kośćcami!  
A Konstancja:  
— To się zobaczy, pogadamy!  
Pycha rzecze: — On się nadymał!  
A Konstancja: — Mnie czasami  
po surowej kapuście też wzdyma!  
Któryś z pickiel: — On był lubieżnik!  
A Konstancja: — Mnie przed pół wiekiem  
też mąż świerzbil!  
Diabły chórem: On żarłok, pijak!  
A Konstancja: — Ja na to konto  
trzy tysiące piątków pościłam!

- On nie zginał kolan w kościele!  
— Ja za niego mam odciski!
- On nie modlił się w niedzielę  
— Dla mnie każdy dzień uroczysty!
- Szydził z księży!  
— Ja im służyłam!
- W nas nie wierzył!  
— Ja was śledziłam!
- Fałszował Bacha i Mozarta!  
— Nigdy w życiu nie grałam w karty!

Podził z Muzami wizję zatrute!  
Surrealizm, socnarkotyzm, babopiewca!

Konstancja nie wie, co to znaczy!  
Więc hurtem kładzie swą pokutę,  
różaniec, klęcznik i pociechy  
za straszne winy, dziwne grzechy  
tego człowieka co tuż przy niej  
bezsilny płacze...

Diabłów jakby kto kadziłem sparzył;  
uskoczyły pięć stóp wstecz!  
a Konstany podnieść się odważył.  
Zgraja widząc, że to nie przelewki  
nuże szarpać zaczepkami duet  
— Skąd tę, Kostku, wytrasnąłeś dziewczkę?  
Czym zapłacisz jej dziś za ratunek?

Mistrz wytrzeszcza oczy lękiem chore.  
Chce rozpoznać szczęśliwe zjawisko:  
Muza li to, Melusinc, Gracja?  
Strojna, rzeźka jak poranku wiew,  
w srebrnych włosach aurory rąbek...  
— Ty jesteś moja Terpsychore?  
— Nie!  
Ja jestem Konstancja Kłosińska  
z Gołąbek!

— Znałem kogoś...  
Przerwali mu rykiem,  
doskakują, aby się odegrać,  
koziółkują ciałniej dookoła:  
— Tuś babsztylu! Znamy cię!  
Za życia nie umiałeś nawet zebrać!  
A teraz nasza, boś gola, analfabetko!  
Wszystkie łaszki oddała pocie!  
Sam prowodyr szczerzy na nią pysk:  
— Do mnie należy zamiast Ildefonsa!  
Stop!

Zza sztachet błysk!  
Miecz na asfalcie!  
Głos przemożny woła:  
— On jest mój,  
A ty, Konstancjo,  
pozyskałaś dziś wdzięczność Anioła!

### *Final I*

A ten własny Anioł Stróż Konstancji  
gdy ją chwilę później w skrzydłach nianczył  
nazwał ją „duszyczką dzielną!”  
I pałał szczęściem w niebiańskiej pokorze  
kiedy składał przed Obliczem Bożym  
swój drogocenny klejnot.

### *Appellatio*

A ten drugi Anioł, Konstantego,  
wdzięczny Konstancji za kolaborację,  
miał z nim wkrótce nowy ambaras,  
z Demonem Prasy,  
w Apelacji.

Demon narobił straszego larum  
o ten pogrzeb, zaliczki, order.  
A gdzie spowiedź, z Kościołem więź?  
Mistrz wykrzywił dla Partii mordę,  
pisał w Trybunie co mu kazano,  
skaził fiołem Zieloną Gęś!

Taki się z tego artykuł wykuł,  
dla oskarżenia tytuł do chwały,  
że już diabły brawo klaskaly.

Anioł nie dał się tym zbić z tropu.  
Zanim gaudium opadł dym  
znalazł do Rzymu rym  
i wyskoczył im z ukropu.

Majestatycznym, płynnym ruchem  
sięgnął skrzydłem za pazuchę  
i wyciągnął  
...kontrabas!

Zdębieli!  
Sąd nastawił ucha,  
bacząc, że Anioł Stróż takiego zucha  
też musi być artystą klasy pierwszej.  
Przecież nie spodziewali się,  
że z kontrabasem  
będzie im recytował  
wiersze.

Zaczął od snu żołnierza:  
Jak to córeczkę kołysał,  
dziękując Chrystusowi, Panu  
Najwyższemu.  
Pięć strofok: Bóg, dziecko, żona, kwiaty...  
Prokurator, zdziwiony szczerze:  
– Kto to pisał?  
– Konstanty!  
– Kiedy?  
– Przed dziesięciu laty!

Drugi wiersz o Aniele Bożym,  
stróżu towarzyszkii Natalii.  
Trzeci o polskich flagach,  
biało-czerwoncy.

Czwarty o konklawe,  
o papieżu.  
O katoliku–Sołtysiku,  
O szarlatanów konwentyklach...  
Tu prokurator się zatrzywał:  
– To też Gałczyński?  
– A jakże!

Następuje Pieśń Cherubińska!  
przygrywka strun:  
Kujawiaki przetykane walcem.  
Modlitwa mocna, zdrowa, rzewna...  
Sędzia Cherubin przytknął w palce  
a prokurator ziewnął...

Dalej lzy niszane w łagrze  
Sny obmyślane, niezapisane,  
Strofy spętane, zcenzurowane.  
Wizje spędzone wódką z mózgu.  
Krwawej ironii giętkie różgi.  
Słowa co pływają na świętą błagę,  
sztydzą z patosu, sławią nieznacność,  
wycisną troskę z jarzębin jagód,  
ściągną pioruny na własny dach...  
Bacność!

Sąd wstaje.  
W drzwiach zator.  
Część gawiedzi chowa się po kątach.  
Werble warczą!

Matka Boska z Oflagu  
uśmiechnęła się do Konstant...

Sędzia Cherubin daje znak:  
– Nam to wystarczy!  
Zaś prokurator z przekąsem  
– Zaś co zrobimy z Ildefonsem?

### *Finiał II*

Skryba, Władysław Jan,  
który w Grabkowie tę balladę spisał  
sam będąc zatrwożony o swe „dwojga imion”  
prosi cię czytelniku  
na wypadek gdy ten skrypt do ciebie dotrze  
Primo o:  
Wołają na obiad!  
– domyśl się naszych potrzeb...

*Grabkowo*  
w dniach 12–15 grudnia 1953 r.

*Wspomnienie Zofii Wojciechowskiej-Grabskiej,  
spisane 6 XII 1978.*

*Dzień św. Mikołaja. Słucham rano radia. Audycja poetycka o Galczyńskim. Zbliża się dwudziesta piąta rocznica jego śmierci. Nasuwają się wspomnienia i myśli, że może warto pewne chwile ocalić od zapomnienia, aby pomogły może kiedyś zrozumieć niektóre sprawy, które mogą się wydać niezrozumiałe bez znajomości pewnych sytuacji.*

*Władysław Jan był chory na lekką grypę, ale u niego zawsze to nie było naprawdę lekkie ze względu na dawną chorobę. Leżał w łóżku otoczony opieką. Nagle dowiedział się o śmierci Galczyńskiego, co bardzo nim wstrząsnęło, a w parę chwil potem sąsiadka przysłała z wiadomością, że umarła Konstancja Klosińska.*

*Konstancja Klosińska to była bardzo zacna staruszka, dla której oboje mieliśmy szacunek z powodu jej postawy moralnej i roli, jaką umiała odegrać w życiu parafii, choć zdawałoby się, że była niczem. Była bardzo stara, niespełna stuletnia, biedna, ale bardzo pobożna, uczynna i ofiarna, była jednak kimś.*

*Gdy rozmawialiśmy o tych odejściach, zastanowiło nas, że prawie o jednej godzinie zakończyli życie.*

*Wspominał Władek ostatnie spotkanie z Galczyńskim (ostatnie, w czasie którego rozmawiał z nim, bo potem kiedyś spotkaliśmy się jeszcze w Al. 3 Maja dość zabawnie, bo Konstany szedł z Natalią pod rękę, a Władek ze mną. Minęliśmy się, oddając sobie ukłony bez zatrzymania się. Były to czasy stalinowskie...).*

*Wspomnienie Władka było dość dramatyczne. Przypadkowo spotkany Galczyński nie był trzeźwy i w stanie takim mówił z goryczą i rozpaczą o sobie, robiąc wyrzuty Władkowi, że on jest ponad wszystko „nieskazitelnym”. Była w tym i złość i zazdrość, że mógł zachować swoją niezależność z powodów materialnych. Władek odprowadził go pod drzwi jego domu. Spotkanie było bardzo przykre.*

*Jednego dnia wypadł pogrzeb Galczyńskiego i Konstancji Klosińskiej.*

*Rano, gdy jeszcze było ciemnawo, zaczął się dziwny pogrzeb Konstancji. Bardzo uroczyste i bardzo ubogo. Ludzi było niespodziewanie sporo. Dostаточно ubranych i całkiem ubogo. Msza św. ze śpiewami, a potem kondukt pogrzebowy. Pogoda brzydka i błoto, a na cmentarz spory kawał drogi. Szedł ksiądz aż na cmentarz i zakonnice ze świecami. Prawie wszyscy, co byli w kościele, też szli. Trumna najskromniejsza, zwykły wóz i jeden słaby koń. Opowiadałam to Władkowi ze wzruszeniem po przyjściu do domu...*

*A potem Władek był bardzo wzburzony wiadomością, że Galczyńskiego pochowano zupełnie po świecku, bez księdza i modlitwy.*

*W takim nastroju, pomimo podniesionej temperatury, leżąc w łóżku zaczął pisać Balladę.*

*Jakiś czas przed śmiercią pani Klosińskiej fotografowałam ją, bo zbierałam materiał do portretów bohaterów „Rapsodii świdnickiej”, a ona była dobrym modelem do starej Maryny. Była już wtedy słaba i leżała w łóżku.*